

Jerzy Lesław Ordan

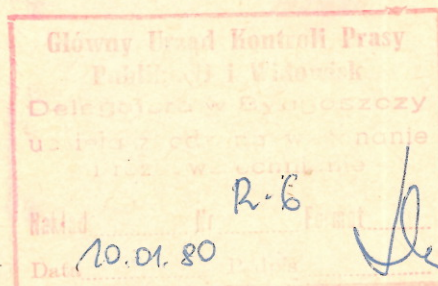
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 13.I.1980 r.

Godz. 16.05 - 17.30

Jan *JK*

POGRZEB BABKI



Zastanawiające, choć to uświadomiłem sobie dopiero znacznie później, iż w ciągu pierwszych godzin mojego pobytu w rodzinnym domu nie padło słowo na temat babki, jakbym nie przyjechał tutaj z jej powodu, jakby nie było potrzeby nawet napomknąć na jej temat i dopiero po obiedzie, po wysiorbaniu rosółu z makaronem, po zjedzeniu kawałka kury w sosie chrzanowym i z ziemniakami, po wypiciu paru stopek miodówki, którą ojciec miał w karawce, i herbaty, którą matka zaparzyła z jakimś ceremoniałem, z tego pewnie powodu, iż u nas nie pijało się nigdy herbaty, a jedynie kawę zbożową, czarną lub zabielaną albo mleko, po wysłuchaniu tych niejasnych wypowiedzi matki, pełnych niby ukrytego żalu, niby pretensji czy zawodu, po wymienieniu z rodzicami kilkudziesięciu zdań na tematy mniej czy bardziej oczywiste i obojętne, po odsiedzeniu w ciepłe jeszcze kilku kwadransów i odczuciu wygodnego lenistwa ojciec zarządził: - No, pójdziem do Leona!

Podnieśliśmy się wolno od stołu i zaczęliśmy przygotowywać do wyjścia. U stryja Leona nie byłem od kilkunastu lat, chyba od przyjazdu na któreś ze studenckich wakacji, które zresztą bywały krótkie, bo zawsze miałem jakieś obozy sportowe czy zawody. Prawie nie pamiętałem imion jego dzieci - moich stryjecznych sióstr i braci, jego samego, jego domu. Teraz miałem wrażenie, że wybieram się do obcych, znanych mi tylko ze słyszenia ludzi i nawet nie bardzo wiedząc po co. Chętnie bym wyłgał się od tej wizyty, ale nie miałem śmiałości, wiedziałem, że ciężko bym dotknął matkę i spowodował, że stałaby się jeszcze bardziej tajemnicza i zamknięta w sobie. Więc ubierałem się ślamazarnie i dopiero po dłuższej chwili, już na drodze, kiedyśmy patrzyli sobie pod nogi, żeby nie zachlapać się, bo asfalt był nierówny i stały na nim kałuże po tym sypiącym co jakiś czas deszczu, uświadomiłem sobie, że nie idziemy do stryja Leona, lecz do babki. Nie żyjącej już, ubranej po raz ostatni w swój najlepszy strój, ułożonej w trumnie, oczekującej na nasze ostatnie przybycie. Nie do stryja, lecz - do babki.

Matka przystawiła na ogień garnek z jedzeniem dla Józka, bo niedługo miał wrócić z pracy, ubrała się w swoje ciężkie palto, owinęła głowę szalem, ojciec włożył tylko kurtkę

97 k

i czapkę i poczapaliśmy we trójkę w stronę stryjowej zagrody. Ogrodzenie jej też było nowe, z metalowych prętów pomalowanych jaskrawo. W obejściu nie zauważyliśmy nikogo, nawet pies nie wyskoczył z budy - może już nie ma psa? Zaszuraliśmy butami w sieni, zastukaliśmy i ktoś od razu otworzył drzwi do stołowego. Ciemnawo w nim było i ciasno, bo na krzesłach ustawionych wzdłuż ścian siedzieli ludzie, a inni, szczególnie młodzi, stali. Pośrodku pokoju była trumna z babką, obstawiona gromnicami, które płonęły żółto, i doniczkami z zielenią.

W tej podłużnej skrzyni o białawym wnętrzu babka wyglądała niepokąźnie, niepokąźniej, niż za życia - była oczywistym dowodem na to, iż według powszechnego mniemania człowiek po śmierci maleje. Jej twarz jak piąstka, żółtawo-brązowa, poznacona nieregularnymi rowkami, ściągnięta w zastygłym skurczu, jej ręce z woskowym połyskiem, raczej rączki, jak u dziecka, z naciągniętą na kostkach skórą niby zleżały jedwab, związane różańcem, jej czarny, głęboki ubiór... Zawsze, jak pamiętam, była stara, malutka, pomarszczona, tylko nie tak żółta, nie tak błyszcząca, nie tak uroczyta i nieruchoma, zawsze była stara, wygięta w grzbiecie, ślipująca spod chustki nasuniętej na czoło, ale ruchliwa, przemykająca po podwórzu z ziarnem dla kur,

gg d

odpędzająca obce kury, wyzywająca dzieciaki, gdy przychodziły im do głowy jakieś psoty, zawsze była stara i można się dziwić, że tak długo żyła, jakby nigdy nie miała zamiaru umrzeć, zawsze była stara i może dlatego nikt zdawał się nie dziwić, że nie umiera.

Nasze wejście spowodowało ożywienie, zamieszanie nawet.

Witano się ze mną hałaśliwie: ktoś ścisnął mi rękę i nie chciał puścić, ktoś cmoknął mnie w policzek, ktoś inny o coś pytał, ale nie pamiętałem o co. Jakaś pełna, aż za pełna z wyraźnej niedbałości o siebie, kobieta posadziła mnie przy sobie z oznakami wylewności i zaczęła rozmowę, dość ściszoną, na poły familiarną: nawet niewiele się zmieniłem, tyle lat to musiałem, ale nie tak wiele, jak to bywa, tylko siwieć zacząłem, ciekawe, że tak od czubka głowy, klinem takim, jakby te włosy kto przykleił albo jakbym był ranny w tym miejscu, chociaż nie wiadomo, czy na miejscu po ranie wyrastają zaraz siwe włosy, ale tak to dobrze wyglądam, w sobie i na twarzy, musi mi tamto życie i praca służyć; pracy pewnie mam dużo, bo do Waliszewa rzadko zaglądam, do rodziny, znajomych, a tutaj zmienia się, wciąż nowiny - jedni pomarli, inni wyjechali, Heniek /co za Heniek? - usiłuję sobie przypomnieć/, mówmy, jest inżynierem w Gdańsku i na pogrzeb babki pewno nie przyjedzie, bo mu za daleko albo też z roboty

107 L

nie może się wyrwać, Zdzisiek /co za Zdzisiek? może jej mąż albo brat?/ jest pod ręką, w Onpilu, więc jakby wciąż tutaj, tylko dużo rozjeżdża się w sprawach służbowych, chociaż nie wiadomo, czy musi tyle jeździć czy może sam chce, bo z Teresą podobno nie najlepiej mu się układa /z jaką, u diabła, Teresą?/; młodzi najczęściej stąd uciekają, do miasta, do wielkiego świata, na kształcenie się, ale i tutaj ludzie ściągają, ośrodek zdrowia wybudowali, to pewnie wiem, dwóch lekarzy przyjechało i lekarka, jak nie przyjmują w ośrodku i nie leczą, to w brydża grają ~~na~~ albo samochodami rozjeżdżają się, wszyscy teraz tylko o samochodach mówią, już im motocykle nie wystarczają; a jej też dobrze, na miejscu siedzi i, chwalić Boga, nie narzeka, za księgową jest w spółdzielni, to i poważanie ma i zarobek, choć poważanie większe, jak zarobek, ale Romek /kto zacz Romek? jej mąż?/ przynosi do domu więcej, to nie mogą narzekać, żeby tylko nie pogorszyło się, ~~am~~ może będzie i lepiej?..

Patrzę na tę kobietę, pełną, na tyle pełną, że mogłaby swoich obfitości użyć innym, patrzę, słucham jej i zastanawiam się, kim jest, by wreszcie po dłuższym wysiłku uświadomić sobie, że to Julka, moja stryjeczna, córka Leona.

Ale Julka to była taka, jak jej imię: tyczkowata i blada. I Julka bała się wszystkiego, najbardziej myszy i konia, i Julka nie rajcowała z dziewczynami po wsi, i Julka nie ganiała po polach, nie wyzywała chłopaków, i Julka nie pomagała w obejściu, a najchętniej w domu i siedziała najczęściej w domu, i Julka była uczennicą handlówki w Onpilu, i mieszkała w internacie, tylko innym, niż ja i trochę później, niż ja...

Nie tylko ona tyle mówiła, wszyscy gadali, więc w pomieszczeniu unosiła się gęsta zawiesina głosów i było swobodnie, nie jak na pogrzebie, ale na spotkaniu towarzyskim, zebraniu półoficjalnym. Nie byłoby bowiem szczere trzymanie buzi w ciup, utawianie smutku, wymuszanie powagi. Babka żyła długo, dłużej, niż ktokolwiek inny i umarła z czystej starości, z tego, że już chyba nie można żyć dłużej. Co prawda przyzwyczajono się do jej długowieczności, do tego, że zawsze była i będzie, i nie przewidywano, że może odejść tak nagle, niespodziewanie, bez wcześniejszych objawów. Jeszcze przed paroma dniami dyrdała po obejściu i pomstowała na urojonych wrogów, bo już w ostatnich latach coś się jej w głowie popsulo i trudno się było z nią dogadać, ale tak, to czuła się dobrze, nic jej nie dolegało, nie miała zamiaru chorować. Położyła się po prostu

1951

do łóżka i umarła, wiedziała kiedy się położyć, żeby umrzeć, umarła tak, jak trzeba, jak człowiek powinien umierać.

Chciałem jeszcze rozpytać się o babkę, osobliwie ile mogła mieć lat, bo wyglądało, że nie bardzo wiadano - świadectwa urodzenia nie ma, w księżce parafialnej na pewno była gdzieś zapisana, ale nie wiadomo, czy się księga zachowała, lecz stryjna Barbara, żona Leonowa /ją pamiętam dobrze, bo prawie zawsze tak samo wyglądała/ powiedziała, że różaniec będziemy odmawiać. Stryjna zsunęła się zaraz na kolana przy krzeselku, łokciami opierając się o siedzenie, poczekała, aż w pokoju uciszy się jako tako i zaczęła memiać zdrowaśki, przesuwając koralik za koralikiem, a wszyscy pomagali jej szerokim pomrukiem. To wyciąganie zdrowasiek przez stryjną i podtrzymywanie ogólnym pomrukiem ciągnęło się długo, prawie w nieskończoność i działało usypiająco. Stryjna więc co i raz zapadała w sciszenia i ożywiała się nagle, gdy wydobywało się z niej głośne czknięcie. Czego też mogła się najeść, że tak ją ta czkawka męczyła? Choć prawdę mówiąc nikomu z zebranych czkanie to nie przeszkadzało i wodzili po izbie i babce w trumnie zmętniałym wzrokiem i od czasu do czasu poziewali, raz głośniejsz, raz ciszej, ale co i raz. A mieliśmy jeszcze na modlitwach, żałobnych pieniach,

107

rozmowach, posiłkach i krótkich drzemkach - gdzieś w sąsiednim pomieszczeniu albo nawet tutaj na krześle - spędzić całą noc.

Ale gdyśmy teraz klęczeli i mamrotali, dostrzegłem, że dolna szczeka nieboszczki opadła, po prostu opuściła się i babka miała usta otwarte jakby znajdowała się na fotelu dentystycznym. Inni też to zauważyli i przyglądali się w niemym zdumieniu. - Babka chce mówić! - wyrwał się jakiś podrostek i w izbie rozległa się nagły chichot. - Nie gadaj głupot! - huknęła stryjna.

Stwierdziła zaraz, że babka nieładnie wygląda z otwartymi ustami i trzeba temu zaradzić. Podniosła się więc, wyszła do alkierza i przyniosła kraciastą chusteczkę. Z pomocą jej pośpieszył stryj Leon: podniósł babce szczękę i podwiązał chusteczką.

Dowiedziałem się, że zaraz po zgonie babka miała szeroko otwarte usta i stryj musiał zrobić to samo, ale przy wkładaniu do trumny, uwolnił ją od chusteczki, bo wydawała się już niepotrzebna.

I jak to: chować babkę z chusteczką?

Rozmawiano o tym przypadku przypominając sobie, czy takie rzeczy zdarzały się czy nie, gdy ten sam podrostek, tym razem wyraźnie nie bez kozery, krzyknął, że babka wygląda teraz jakby bolały ją zęby. Zarechotano jeszcze głośniej, ale i Barbara ostrzej się postawiła, kazała po prostu zamknąć pyski i nie

1092

obrażać zmarłej i świętego obrzędu, w czym poparli ją starsi, tak, że miokosy tylko w rękaw mogli sobie jeszcze chichotać.

Powrócono znów do modlitwy - tym razem stryjna zaczęła litanię, odpowiadano jej monotannie i znów ogarnęło wszystkich jakieś znużenie.

I tak pusta noc wlokła się w nieskończoność; może zresztą tylko mnie wydawała się tak długa? Sąsiedzi poszli już do siebie, nikt nowy nie zaglądał, część krewnych położyła się na krótką drzemkę, by potem zastąpić czuwających przy zwłokach. Tylko Barbara była nie zmęczona i wciąż w ruchu. Przewodniczyła w modlitwach, w śpiewaniu, rozmowach, a przy tym wychodziła do kuchni, przygotowywała poczęstunek i zapraszała nań do sąsiedniego pokoju.

Z przyjemnością wyniosłem się z tego pomieszczenia przesyczonego wonią gromnic, asparagusa i wonią, którą trudno określić, ale która jest pewnie wonią śmierci. Z przyjemnością wypilem filiżankę gorącego rosółu, ale po nim zachciało mi się jeszcze bardziej spać. Wróciłem więc do domu rodziców i rzuciłem się do łóżka, chociaż oni zostali przy nieboszczce. Mogli mieć mi to za złe, ale nie widziałem sensu podrzemywania przy zwłokach, na siedząco.

Pogrzeb odbył się zaraz po obiedzie. Piechotę udaliśmy się do kościoła, choć nie było doń blisko, pogadując po drodze półgłosem o tym i owym, potem zaś na cmentarz, gdzie staliśmy wokół wykopanego dołu, słuchaliśmy wytrawnego głosu księdza, ale wszystko to dla mnie skończyło się jakoś szybko. Nagle z pewną ulgą stwierdziłem, że jest już po ceremonii i wróciliśmy do domu stryja Leona.

W dużym pokoju, gdzie jeszcze przed paroma godzinami stała trumna ze zwłokami i unosił się dziwny, ~~zapa~~ znamieny tylko dla pogrzebów zapach, nakryto stoły prześcieradłami. Na nich gęsto od butelek i talerzyków. Stryjna uwija się jeszcze zwawiej niż poprzednio i pogania swoje najmłodsze dziewczuchy, które nie wydały się jeszcze za męża. Stryj rozgląda się, czy kieliszki pełne, obchodzi z butelką stół i dolewa, gdzie trzeba i choćby się ktoś wzbraniał. Jak stypa, to stypa i musowo wypić przez pamięć dla babki, a przy okazji w intencji naszego zdrowia, choć może wódka nie zawsze zdrowiu służy.

Pijemy więc do dna czy też tylko maczając wargi, ale prawie nie zajmujemy się już babką. Już wypadła z naszego życia, bo wiadomo było, że w tym wieku musiała wypaść. Można ją jeszcze wspomnieć jakimś cieplejszym słowem czy westchnieniem,

jak to robi ciotka Rozalia, bo zresztą wiadomo, że Rozalia lubi wspominać i wzdychać, ale więcej uwagi przy takiej okazji należy się żyjącym. Na śmierć nie ma rady, niczego się od niej nie utarguje, a babka nażyła się dosyć, więcej jak inni i pogrzeb miała jak się patrzy, bez żadnego uchybienia, z całym ceremoniałem, więc dobrze pogadać o tym, co ważne dla żyjących, bo po prawdzie stypa jest dla nich.

Patrzę na ojca i matkę, patrzę na ojca trzymającego w jednym ręku kieliszek, w drugim papierosa i słuchającego w skupieniu, co inni mówią, i na matkę, która wzrok utkwiała w prześcieradle służącym za obrus, od czasu do czasu tylko podnosi głowę, spogląda na mnie, ale tak, jakby nie spoglądała, na Józka, Maryskę, jej męża, na innych; jej twarz nie jest ani smutna, ani pogodna, ani napięta, ani senna, mimo to naznaczona jakąś skrywaną urazą, lękiem, a może tylko zakłopotaniem, którego przyczyny nie znam i pewnie nie poznam.

Patrzę na nich, tych moich najbliższych, obserwuję uważnie i nagle uświadamiam sobie, że któregoś roku przyjadę na taką samą uroczystość po śmierci kogoś z nich, a potem znów, dwukrotnie przyjadę, jeszcze nie wiem kiedy, za ile lat, ale potem nie będzie już ich. Czy będę tak spokojny jak teraz?

Babka zawsze była odległa, nawet wówczas, gdy znajdowałem się tutaj, w Waliszewie, nie mieszkała przecież w naszym domu i nie codziennie nawet ją widywałem. Ale oni - matka i ojciec - to zupełnie co innego! Nie, nie umiem sobie tego wyobrazić... Może to będzie prostsze, niż mi się teraz wydaje? Przecież oni pochowali dzisiaj swoją matkę - ta stara, zmniejszona w trumnie, brązowo-żółta kobieta wydała na świat mojego ojca, stryja Leona, inne osoby...

- - - - -